

PRZYGODY DOBREGO WOJAKA ILDEFONSA

„Był to najautentyczniejszy »cygan«, jakich podówczas można było jeszcze spotkać w warszawskich knajpach i kawiarniach artystów – wspominał Stanisław Dobrowolski – ale »cygan« z tak niecodzien-

nym, tak nie fałszowanym polotem, tak na wskroś oryginalny, że podobnego doń drugiego nie sposób byłoby złowić w całej artystowskiej bażanciarni »Kresów« czy »Ziemiańskiej«¹⁹.

Naturalnym środowiskiem Konstantego był lokal z wyszynkiem, a służba wojskowa wydawała się czystą abstrakcją. Człowiek, który nie potrafił przestrzegać terminarza studiów uniwersyteckich, miał teraz trafić do armii? W życiu zdarzają się jednak najbardziej zadziwiający scenariusze.

Gałczyńskiego początkowo wysłano do szkoły podchorążych kawalerii. Jej lokalizacja nie jest znana, a sam poeta miał w przyszłości udzielać sprzecznych wypowiedzi na ten temat. Jesienią 1926 roku tego rodzaju jednostki funkcjonowały w Ostrołęce i Suwałkach, a bardziej prawdopodobna wydaje się ta pierwsza lokalizacja. Tam też miała się przydarzyć katastrofa.

„Na jedynej karcie pocztowej, jaką w ciągu tego czasu od niego otrzymałem – wspominał Aleksander Maliszewski – pisał z melancholią: »Ciągłe siedzę w pace, bo nie możemy się wzajemnie zrozumieć«.

Do »wzajemnego zrozumienia« nie doszło, bo nie mogło dojść, skoro elew na pytanie: »Co to jest karabin?«, odpowiadał: »Narzędzie szatana« – a mówił to z taką powagą, że nie miano wątpliwości, że mówi serio²⁰.

Zdarzały się zresztą inne problemy. Dla Konstantego pojęcie punktualnego powrotu do jednostki nie istniało, a urlop w stolicy stał się kolejnym powodem kłopotów.

„Przychodzę więc na umówione miejsce – wspominał spotkanie z poetą Włodzimierz Słobodnik. – W dziarskim kawalerzyście, z szablą u boku i żółtych

butach z ciężkimi ostrogami, w których wyglądał jak rajtar szwedzki podczas potopu, trudno było poznać pasującego się z własnymi nastrojami i wizjami poetę. Konstanty zmężniał i zrubaszniał. Rozcałowaliśmy się.

– Wziąłem »polski« urlop – wytłumaczył mi się i wyciągnął z kieszeni rajtuzów okazałą butelkę koniaku. – Musimy to wytrąbić”²¹.

Gałczyński starał się odnaleźć plusy służby wojskowej. Tłumaczył koledze, że wprawdzie musi „szorować i poić konie”, to jednak dostrzega urodę „tajemniczych nocy zimowych, spędzanych w stajni wśród koni”, gdy „księżyc oświetlający stajnię wplata się koniom w grzywy”. Uniesienia Gałczyńskiego zakończyło jednak przypadkowe spotkanie na ulicy oficera z jednostki, w której służył. Butelka została skonfiskowana, a poeta bez pasa i szabli trafił pod eskortą na dworzec kolejowy.

Wojsko nie należy do instytucji tolerujących poczucie humoru i po sześciu tygodniach Gałczyński został odesłany do jednostki liniowej piechoty. Jako zwykły poborowy trafił na Polesie, do osławionej później Berezki Kartuskiej. Pierwsze zderzenie z nową rzeczywistością nie należało do najprzyjemniejszych:

„[...] sierżant-szef taką do niego wygłosił przemowę: »Wojsko z każdego cepa robi człowieka, ale z was, szeregowiec Gałczyński, nic nie będzie, bo w was nie ma ducha. Nic z was nie wyrośnie, nie...”²².

Nie ma jednak ludzi bez słabości, a miewają je również zawodowi podoficerowie. Gałczyński pisał dla sierżanta „zawrotne listy miłosne”, dzięki którym „sława szefa rozniosła się po okolicy”. I ponownie mógł pojechać na urlop do Warszawy, a także po raz kolejny wylądować w pace. W bliżej nieokreślonych okolicznościach trafił bowiem do aresztu w komendzie mia-

sta na placu Saskim, skąd udało mu się przesłać kartkę do Mariana Markowskiego. Ten wraz z Maliszewskim podjął starania o widzenie z aresztowanym, ale podoficer dyżurny ograniczył się do przekazania im informacji, że „sprawa wygląda raczej niedobrze”, i wyrzucił ich z budynku.

„Wpadliśmy na pomysł, żeby zawiadomić o tym Tuwima – relacjonował Maliszewski. – Pomysł okazał się dobry. Tuwim, który zawsze odnosił się do nas z dużą życzliwością, uruchomił jakieś sprężyny i Konstanty, chociaż w towarzystwie jednoosobowej eskorty, ale już po kilku godzinach był między nami.

Eszkorta okazała się kapralem Matusikiem czy Matusiakiem, młodzieńcem sympatycznym, wesołym, a co najważniejsze, czułym na uroki poezji. Uzbrojony był w karabin, który z powodu upału nieśli na zmianę – trochę konwojent, trochę konwojowany”²³.

Kapral miał odstawić Gałczyńskiego do Berezy, co okazało się niełatwym zadaniem. Matusik był bowiem zupełnie nieodporny na sugestie szeregowca, a poza tym panował potworny upał i obu żołnierzom bardzo chciało się pić.

[...] na jednej ze stacyjek [...] rzucił się im w oczy (w tym celu zresztą namalowany) napis »Piwo«. Wskoczyli z wagonu. Wypili. Pociąg stał. Więc poprosili o drugie. Wiadomo, że drugie piwo pije się wolniej. Pociąg poszedł, ale nie było dramatu, bo wkrótce miał przybyć następny. Rzeczywiście przyszedł, ale jakoś za szybko i za krótko stał. Następny miał nadejść dopiero w nocy. Specjalnego dać nie chciano.

Rankiem następnego dnia do mieszkania Tuwima zapukali dwaj żołnierze. Konstanty przyszedł błagać mistrza [o ratunek] dla kaprała Matusika”²⁴.

Tuwim nie zawiódł, dołożył również starań, aby zwolnić Gałczyńskiego ze służby w armii. Zanim to jednak nastąpiło, poeta próbował ułożyć sobie życie w jednostce. Poznał tam lekarza, Jerzego Puchalskiego, którego namówił na zorganizowanie zabiegów chirurgicznych dla psów kadry oficerskiej. Bereza leżała przecież na granicy cywilizowanego świata i wizyty weterynarza były dość kosztowne. Konstany miał dar przekonywania i już niebawem asystował Puchalskiemu przy skracaniu psich ogonów. I to nie tylko szczeniakom, lecz także dorosłym osobnikom. Opracował nawet osobiście rodzaj kaftana bezpieczeństwa, który zakładano nieszczęsnym ofiarom jego „poetyckiej” inwencji...

Poza tym pisał wiersze i piosenki na zamówienie przełożonych, założył nawet żołnierski teatr, dla którego dostarczał repertuar. Rysował (również na zamówienie) karykatury i przekonał się, że w wojsku obowiązuje zasada: „Mało pracy, wszystko cacy”. To jednak w niczym nie zmieniło jego sytuacji – nadal tkwił na Polesiu z dala od tego, co go naprawdę interesowało. I wreszcie znalazł rozwiązanie, choć trzeba przyznać, że zabiegi Tuwima bardzo ułatwiły jego sytuację.

Podczas pewnego sprawdzianu wiedzy wojskowej (w obecności oficerów z zewnątrz) zaczął udzielać odpowiedzi sugerujących kompletny brak orientacji przestrzennej. Udowodnił, że dla niego nie ma różnicy pomiędzy metrem a kilometrem, po czym spokojnie oświadczył, że wieża Eiffla ma wysokość „trzysta trzydzieści siedem metrów i trzydzieści centymetrów”. I dał do zrozumienia, że może przeliczać wszelkie odległości nie na metry i kilometry, tylko na wieże. W efekcie niebawem został zwolniony do cywila.